Rozmaitości

DNIA 14. LISTOPADA N^er 46. 1835 ROKU.

POETA I MALARZ Z 17° WIEKU.

Przez Jozé Bermudeza de Castro.

Was in dem Saitenklang der Musen
Mit süssem Leben dich durchdrang,
Erzog die Kraft in deinem Busen,
Die sich dereinst zum Weltgeist schwang.
Schiller.

Na ciemnéj i nieschludnéj uliczce w Sewilli, stał niegdyś stary dom, którego budowa, zacząwszy od posady aż do samego dachu, przez częste dodatki i przemiany do tego stopnia różne kształty brała, iż biedny architekt, który niegdy z dumą artysty plan nań wykréślał, nie byłby już roku pańskiego 1616 poznał swego własnego dzieła. Dom ten miał podówczas dwa piętra, jeżeli nizka izdebka na strychu bez podłogi, do której tylko drabiną dostać się można było, na drugiego piętra nazwę zasługiwała. Nie od rzeczy będzie, kiedy wewnętrzne urządzenie tego poddasza bliżéj poznamy.

Młodzieniec nie więcéj nad 18 lub 20 lat mający, którego twarz brunatna surowość męzką znamionowała, trzymając w jednéj ręce paletę, a w drugiéj pęzel, stał przed pulpitem, i zatapiał swój wzrok płomienisty w uśmiéchające się chłopię na obrazie Tycyjana, które kopijować się zdawał. Że go ta praca nie zadawolniała, poznać to można było ze zmarszczonych brwi, z przygryzionych ust, i z żywych poruszeń młodego umnika. Dwa lub trzy razy odstąpił od obrazu, aby dziełu swemu lepiéj się przypatrzył; oczy jego przenosiły się lotem piorunu z oryginału na kopiję; poczém przyłożył pęzel, zaczął coś rozcieniać, dał kilka pociągów pęzlem i znowu porównywał, aż w końcu uderzając z wściekłością nogą o ziemię, wykrzyknął z rozpaczą: »A niech cię wszyscy.....!« nie domówił, bo jako dobry chrześcijanin pomiarkował się, i tylko przytłumionym, łagodniejszym ozwał się głosem: »Teraz ty Boże, zmiłuj się nade mną! Któż jest w stanie nadać kolorytowi ton tak uroczy!« Zadumany, walcząc sam z sobą, stał przez kilka chwil spokojnie, aż go znowu jego niecierpliwy duch nagabać zaczął, porwał się, cisnął paletem i pęzlem o niewinne płótno, uderzył pięścią o malowidło i obalił je z podstawą na ziemię. Rzucił się pełen rozpaczy na krzesło i oparłszy głowę na ręku, zapadł w głuche otrętwienie. Byłato niemoc umysłu, rozpacz jenijuszu, który widzi otwarte niebo, a wzbić się ku niemu nie zdoła.

Tak udręczony i zadumany siedział nasz młodzieniec. Zdawało się, że kurcz przesilny ściskał nerwy jego; potém podniósł głowę, spojrzał dziko w około siebie, znowu zakrył sobie oczy, i bił się zwiniętémi pięśćmi w czoło. Mijały godziny, młodzieniec nie brał pokarmu; mijała noc, młodzieniec oka nie zmrużył. Dopiéro z brzaskiem dnia dźwignął się ponury i zasępiony z krzesła nieprzytomny sobie, podkręcił miękki wąsik, i zlazłszy na dół po drabinie i przeżegnawszy się pobożnie, wyszedł z domu. Jego w głąb zapadłe oczy i bladość chorowita twarzy świadczyły, że odbył ciężką walkę duszy.

Młody nasz artysta, będąc dobrym chrześcijaninem, udał się na sam przód do kościoła, a gdy wysłuchawszy mszy ś. z uspokojonym nieco umysłem już wracał do siebie, ktoś go lekko uderzył po ramieniu i ozwał się znajomym głosem: »Bóg z tobą, przyjacielu Diego!«

Człowiek, który tak go zagadnął, mógł miéć około lat 60, był wzrostu słusznego, dobréj tuszy, twarzy od słońca ogorzałéj; czarne ogniste oczy przemawiały duchem wojny i umnictwa, zapałem bohatéra i entuzyjazmem artysty. Małe i zapadłe usta przechowywały

nie wiele już zębów; z reszty zaś rysów można było wyczytaś ślady męzkiéj i rzadkiéj niegdyś piękności. Człowiek ten miał na sobie przeszarzany płaszcz z czarnego kamlotu, kaftan z takiéjże materyi, nie mało już wytartéj, krótkie, obcisłe spodnie z kolorową wypustką, wielką szpadę u boku i czapkę na jedno ucho. Cały ten ubior był obrazem niedostatku, lecz razem odznaczał się czystością.

Zaiste byłto bardzo zajmujący widok patrzéć na tych dwóch ludzi, razem stojących. W młodzieńcu sama nadzieja, w starcu same wspomnienia; obaj walczący z losem, obaj patrzący na siebie oczyma, które znamionowały ognistą duszę, twórczy jeniusz, wzbujałą fantazyję, życie, o które płomieniste natchnienie, jak pilnik stalowy, zjadliwie tarło. O! ktoby ich był obudwóch razem widział, tenby zapewne był zawołał: »Nie sąto powszednie dusze! w ich piersiach mieszka duch potężny, mieszka niebo i piekło!« Jednego czekało lub samobójstwo lub sława niepożyta; drugi... łamał się już nie raz z żelaznem przeznaczeniem i toczył z niém bojów olbrzymich tysiące.

»Ale cóż znaczy, powiedź mi, ta bladość, ten wzrok ponuro ognisty? O! nie traw młodzieńcze daremnie życia, które tak sławném być może...«

»Przepędziłem noc okropną, noc pełną łez, pełną udręczenia, wściekłości i rozpaczy!« To mówiąc z zapałem młodzieniec chwycił swego drugiego ojca, swego przyjaciela za rękę, i w głębi piersi stłumił ciężkie westchnienie.

»I cóż temu wszystkiemu było powodem lub przyczyną?« zapytał starzec; »może nierozważna miłość? lecz nie, znam cię, to być nie może... Młodzieńcze, powiedź mi, co tobie?«

»Co mi jest? Ach! straciłem wiele, straciłem wszystko! moje marzenia o sławie zamierzchły! lot moich skrzydeł wstrzymany — z wysoka upadłem!«

»Możeś siły swoje przetężył — możeś chwili świętéj, chwili natchnienia nie czekał!«

»Anim o włos wyżéj nie postąpił! na jedném miejscu zostanę na zawsze, zgubię się w tłumie mierności — zgasnę bez pamięci!«

»Nie, młodzieńcze, nie; nię na toś, abyś nieznany w ciemności zakończył życie — wznieś śmiało czoło — pomniéj, jaka cię chwała czeka, chwała potomności!«

»Chwała! chwała potomności! ach, marzyłem ja o niéj! za te marzenia tobie mam dziękować, one mię do rozpaczy przywiodły; chciałem żyć w podziwienie współczesnych, lub umrzéć! Wyrzekłem się mierności, która tylko życie brudzi, chciałem świetniéć; ale teraz — jakże wzlecę? czém się odznaczę? czém zachwycę?«

»O, młodzieńcze, nie bluźń! gdybym przy mojéj fantazyi, twoję rękę, twój pęzel posiadał!« rzekł ów drugi, kładąc z natchnioném spojrzeniem rękę na ramieniu młodzieńca; »ty nie wiész, jaki skarb posiadasz; pracuj tylko, a ja ci ręczę —«

»Nadaremnie! sława straciła już dla mnie wszystkie powaby! prędzéj zniszczeję, nim się z poziomości w górę dźwignąć zdołam!«

To rzekłszy zamilkł, i wkrótce znowu się w te słowa odezwał: »O mój ojcze! i tyś niegdy o sławie marzył, pisałeś komedyje, powieści, składałeś boskie pienia, a teraz —! cóż ci z tego przyszło? jakąż masz wziętość, jaką nagrodę? czy twoja sława w tym płaszczu, w tym kaftanie mieszka? świat w dostatek okwity, a ty, jego gwiazda... ach!

»Wszystkoto prawda!« rzekł starzec smętno, »wszystkoto prawda! biedny jestem, opuszczony, schorzały, prześladowany; oto owoce mojéj sławy! Takażto, taka, o wielki Boże, nagroda!« Tu zwiesił głowę, lecz na chwilę tylko: »Ubogi jestem,« rzekł z szlachetną dumą, »ubogi jestem, jednakże poważany, czczony mimowolnie. A oweż lube sny moje o miłości i szczęściu? owe istoty, którem twórczą mocą, z ich cnotami, charakterami, namiętnościami, w byt i życie wywoływał? istoty, w których się pieszczotnie jak we własnych dzieciach rozmiłowałem! owe święte, uroczyste chwile mego natchnienia, mego najsłodszego szału —! owe błogie, rozkoszne, niebiańskie zachwycenia —! ów polot wieszczego ducha, wolny, strzelisty, niewstrzymany, jak eter nieujęty —! owe duchowe, idealne światy, którémi żyję, i z których zdrój życia mego czerpię? czyliżto wszystko, za wszystkie cierpienia, za wszystkie dolegliwości życia nie wynagradza? któż jest mocen, kto zdoła tych mię skarbów pozbawić? czémże jest cała ziemska sława w porównaniu z témi rozkoszami bogów! Wszystko zmysłowe proch i nicość, wiecznie żyją dzieła jenijuszu!«

Głębokie zmarszczki jego rozgładziły się, twarz posępna rozpogodziła się, kiedy słów tych domawiał; oczy zajaśniały i roziskrzyły się młodzieńczym zapałem; jego szlachetna, w górę podniesiona głowa, jego wzrok, który ziemski padół berłem niebieskiém przemierzać się zdawał — wszystko w nim oznajmiało jenijusz tryumfujący.

Wzrok orli, czarodziejska, strumienista wymowa starca, przełamały upor młodego malarza. Własném przekonaniem o swojéj umysłowéj słabości zawstydzony, spuścił w dół oczy, a gdy mu rzekł starzec: »Pójdź ze mną do swego mieszkania!« poszedł za nim powolny i potulny, jak ona owieczka.

Pracownia malarza była jeszcze w tym samym stanie, w jakim ją zostawiliśmy.

»Gdzież jest płótno?« zapytał starzec.

»Oto jest,« odpowiedział młody jego przyjaciel, i podjął je z ziemi zakurzone i zwalane.

Starzec spojrzał na malowidło i zrumienił się z radości. »Wstydź się, wstydź! kto się taką pracą nie zadowalnia, tego nic już zadowolnić nie zdoła! Zepsułeś dzieło mistrzowskie! Ileż tu było uroku, i tobieżto nie w zadość!?« Tu zaczął się lepiéj przypatrywać obrazowi. »Wyraz pełen ognia — twarz śmieje się. Koloryt, jak potrzeba, przedmiot żywcem zchwycony, pęzel śmiały!... Ale ta pośrednia barwa, ten pośredni ton kolorytu! to jedno szpeci twoję pracę; dla czegoż tak bardzo rozcieniowałeś?«

»Otożto właśnie, co mię do rozpaczy przywiodło!« zawołał malarz z żywością. »Postrzegłem ten niebieskawy urok, to lśnące się coś około ust oryginału, co nie ginąc, tak łagodnie bez sprzeczności z cieniem się mieszało! widziałem to, pojąłem duszą, a nie byłem w stanie oddać, com czuł i widział! Powiedź sam, azaliż to mało do rozpaczy powodów?«

»Bynajmniéj! maluj tylko z wesołym, gorącym umysłem; idź za własnym popędem natchnienia, i porzuć naśladownictwo, ten żywioł niedołężnego ducha!«

»Lecz jakże sobie pocznę? jakże zdołam co wynaleźć? jaki koloryt wymyślić, któregoby mi już Tycyjan i Corregio nie wydarł! O! czemuż tak późno na świat przyszedłem!«

»Naśladuj przyrodę: wszyscy mniéj lub więcéj przedstawiali ją niewiernie; jeden nadto ją upiększał lub umilał; drugi nadto upośledzał. Ty ją maluj taką, jaką jest w istocie, z całą jéj boską pięknością, z całą majestatyczną wielkością, którą z rąk boskich wzięła; maluj ją z wszystkiémi jéj chimerycznémi niedoskonałościami — nic nie dodając, ani ujmując! chwyć ją życiem, żyjącą! Twoja fantazyja, twój pęzel, reszty dokonają. Wtedyto, mój przyjacielu, wtedy i sława w ślad za tobą pójdzie; ale szczęście — o! nie łudź się, nie łudź — szczęście, bardzo wątpię! Jeżeli się zawiści i sideł jéj lękasz, jeżeli się w wyborze między szczęściem a sławą chwiejesz — jużeś na jenijalnego artystę nie zrodzon, już ci pęzel porzucić! już cię demony oskoczą, już cię świat w nicości swojéj zanurzy!«

»Nie!« zawołał natchniony słowami starca, jakby pędem wiru porwany młodzieniec; »nie, na Boga!« nie waham się: niech mię tylko łuna sławy promieni! nie ugnę się przed żadną przeciwnością losu; niechaj mię świat do walki wzywa, śmiało stawię mu pole. Zniosę głód, szyderstwo, zniosę wszystkie cierpienia!« To wyrzekłszy podniósł w górę głowę i wziął postawę do walki, jakby wyzywającego.

»Takim podobasz mi się, takim cię widzieć chciałem, synu mój!« rzekł wzruszony starzec. »Godzień jesteś tego daru, jakim cię niebo wyposażyło. Ach! gdybym ja był twoję czarodziejską sztukę posiadał! Imię moje rozbrzmiałoby po całéj ziemi, i mniéjby nieszczęść na głowę moję padło! Patrz na to czoło! azaliż tu nie są wszystkie nieszczęścia wyryte? Żyłem w świecie, który mię zrozumiéć nie mógł: musiałem własny mój jenijusz w sobie zdławić, bo nie byłem zdolny przenieść go na płótno, lub wydłucić w marmurze; moja ognista dusza chciała albo życiem w dzieła się przedzierzgnąć, albo sama w sobie strawić. Życie wojenne równie przyrzeka wawrzyny i nieśmiertelność, zostałem żołniérzem, a Bóg to wié, żem temu powołaniu, które żar mojéj duszy gasiło, i które ją rozprzestrzeniało, żadnego wstydu nie przyniósł. Nie długo trwało, los mię wytrącił z tego zawodu. Patrzaj!« tu obnażył młodzieńcowi wielką bliznę na niewładnéj ręce; »czy widzisz? Musiałem porzucić wojenne rzemiosło, a wziąć się do pióra! Pióro stało się moim pęzlem, dawałem byt obrazom, tworzyłem je śmiałémi rysy, wyposażałem bogactwem takich kolorów, jakiemi świetnieją twoje.

»Ach, jak piękne są te obrazy!« wyrzyknął młodzieniec z podziwieniem.

»Jeszcześ mego arcydzieła nie widział,« mówił daléj starzec, »tu je na mojéj piersi noszę; i z niém każę się pochować! Mniemano, żem napisał księgę potwarzy i obelg; rzucili się na mnie, prześladowali mię, i ta książka stała się źródłem wszystkich moich cierpień, a jednak dla tego samego kocham ją jeszcze więcéj!« To rzekłszy dobył ostrożnie z zanadrza gruby, drobno i gęsto zapisany zwitek, i zaczął przed okiem duszy malarza rozwijać obraz niezmierny, rozpościérać barwisty kobierzec, naszyty powieściami świéżych, eterycznych, woniejących, cudownych kwiatów! Tysiące najdziwniéjszych przygód, tysiące śmieszności żartem i wdziękiem upięknionych; tysiące fantastycznych arabesków z przypowieściami, pełnemi najgłębszéj mądrości życia; z ustępy niewinnéj lub czułéj, szczęśliwéj lub nieszczęśliwéj miłości; z uśmiéchem radości lub wstydu rumieńcem, z duchem anakreontycznym lub elegiackim; cała widownia życia, z wszystkiemi swémi uroczémi widami i złudnémi marami, z cierpieniami i uciechami — z tysiącami charakterów, tak zmiennych, jak koleje czasu; słowem, fantastyczny, a jednak prawdziwy, rzeczywisty obraz, skarbiec komicznego humoru, któryby samego monarchę ciemności do śmiéchu rozłechtał!

Młody malarz i słuchem i duszą zatonął cały w uroczych obrazach, kiedy starzec nagle czytanie przerwawszy, ocknął go z zachwycenia: »Teraześ w prawdziwym zapale!« zawołał starzec, któremu uczucia malujące się w oczach młodzieńca, więcéj zadość sprawiały niż poklask tłumu; »teraz sam czas, teraz młodzieńcze weź się do pęzla!«

»Ach, po tém wszystkiém, com słyszał, cóżbym mógł, cóżbym zdołał malować?... a tenże średni ton kolorytu, dla mnie tak nieszczęsny!«

»Maluj przyrodę dziewiczą, bez wszelkiéj okrasy, a staniesz się umnikiem rodzimym, malarzem piérwotworczym, i świat cię z grobu wywoła. Że ci się powiedzie, ręczę ci za to, ale przysięgniéj mi, że wykonasz, co ode mnie usłyszysz.»

»Przysięgam!« zawołał młodzieniec, wyższym pokonany jenijuszem. Otworzył okno, natarł kolorów, naciągnął na ramy świéże płótno, pochwycił w rękę pęzel i laseczkę malarską, a potém stanąwszy przed płótnem, zapytał: »I cóż mam malować?«

Starzec spojrzał przez okno, i odpowiedział bez namysłu: »Tego oto! co go tam widzisz!« I wskazał na zgrzybiałego wodonosza, który właśnie w téjże chwili ze skórzanego szawłoku dwóch spragnionych napawał. »Młodzieńcze, nie wahaj się! Maluj go! przenieś żywcem na płótno, z jego dziką duszą, która mu z oczu nieszlachetną krnąbrnością patrzy; przenieśto wszystko na płótno, a wtenczas dopiéro powiém: że jesteś jeniuszem!«

Lotem łyskawicy przedmiot ten przeniknął młodzieńczą fantazyję malarza, jął rysować spiesznie, śmiało, bez wytchnienia, niekształtnie, ale ognisto, jak wulkan. Na palecie mieszały się najsprzeczniéjsze kolory, ale jakże się spływały w jedność i zgodę na płótnie, jakże oddawały wszystkie zmiany światła doskonale, wedle natury i porządku! Z jakąż prawdą, z jakąż wiernością przyrody zaczęły wyłaniać się i występować z tła swego owe kątowate rysy, owe zielonawe półcienia, owe półtony kolorów, owe poszarpane cienia lutéj, ostréj twarzy! jakże udane były te żyłowate ręce, ta ogorzała, wyschła skóra wieśniaka!«

Już dzieło prawie było na ukończeniu, kiedy czoło młodzieńca nową powlekło się chmurą. »Przeklęty półcieniu!« zawołał, »znowu się tu wkradłeś!« To mówiąc już zamierzył pęzlem i chciał nałożony kolor rozcieniować, gdy go stary żołniérz zchwycił za rękę i zawołał:

»Stój, ani mi się waż poprawiać! jak mi Bóg miły, na to nie zezwolę!«

Malarz zaczął się wydziérać starcowi: »Zaklinam cię na Boga!« rzecze na pół gniewny, »puść mię! każda chwila jest drogą! moja fantazyja jeszcze jest pełną swego przedmiotu...«

»Pomniéj na swoję przysięgę.« Lecz młodzieniec nie słuchał go bynajmniéj, i starał się z rąk jego uwolnić, co gdy mu się nakoniec udało, postąpił znowu przed płótno i — stanął, jak wryty; ów półcien, ów średni ton koloru, tak trudny; ta skała, o którą się młodzian rozbijał, znikła, a obraz był zupełnie skończonym. Byłoto arcydzieło!

Młodzian spojrzał ździwiony na starca, a ten się uśmiéchnął: »Widzisz, mój synu, że ja słuszność miałem? Teraz sam się przekonaj,

że ta mgła, ten lekki cień, który widziałeś, był tylko złudą twojego wzroku, długiém wpatrywaniem się we wzór wysilanego. Powiedź, czegoż temu obrazowi jeszcze nie dostaje? Nie waż się go więcéj dotykać. Straciłby na żywości i duchu, coby na gładkości zyskał.«

Z uśmiechem podzięki i wewnętrznego zadowolenia podpisał sam młodzieniec na dole obrazu: *Velazquez pinxit.* »Nieśmiertelnym będziesz Diego Velasquez de Silva!« rzekł starzec. Velasquez pochwycił starca w ramiona, i ze łzami radości zawołał: »I ty Miguelu de Cervantes Saavedra! To, coś mi czytał, przetrwa wszystkie wieki!«

NAPOLEON.

(Z Tygod. Petersb.)

Kto cię zbada, rozgadnie, ten wyrówna Tobie,
Niepojęty za życia i ciemny po zgonie:
Wódz, żołniérz, konzul, jeniec i władzca na tronie,
Pięciu wielkich — a wszyscy w twéj jednéj osobie.

Stworzyć mieczem świat nowy na starym pół-globie,
Myśl poczęta w Wersalu, czy jeszcze w Tulonie?...
Laurem Bruta i Sylli osłoniwszy skronie,
Któregoś wolał sławę zostawić po sobie?

Już świetny przed-ostatnim wieńcem i szkarłatem
I pobladłych dwóch lądów ogłuszony chwałą,
Dumnym węzeł gordyjski rozciąłeś bułatem;

Jużeś zaprzągł w Twym wozie Fortunę zdumiałą,
Lecz, rzuciwszy pod nogi, gdyś zagrzmiał nad światem,
Świat jęknął, Bóg usłyszał i — ciebie nie stało!

A. S.....

BIÓRO KOJARZENIA MAŁŻEŃSTW W PARYŻU.

Ciemność i cisza! Jak wiadomo każdemu, jestto godło sowy, lecz nie wszyscy może wiedzą o tém, że taką samę dewizę każdy rycérz, który się w biórze małżeństw stawi, na swojéj tarczy miéć powinien.

Śród ciszy i ciemności zawiérają się związki małżeńskie, albo raczéj nie zawiérają się wcale »bez upominku dla dam i bez zaliczenia z góry ze strony zalotników,« jakto wyraźnie obwieszczenie ogłasza.

»Młody, przyjemny mężczyzna, dla którego »szczęście nie tyle okazało się szczodrém, ile »przyroda; życzyłby sobie wniéjść w związki »małżeńskie z panną, która nie tyle powinna »być zaopatrzona we wdzięki (gdyż bez tych, »w gospodarstwie łatwiéj obyć się można), »ile raczéj w posag stotysięczny. Z taką sumką »łatwiéj coś zacząć; a jeżeli dobry Bóg po»błogosławi — a do nadziei któż nie wzdycha, »któż nie ma prawa! — z taką sumką, mówię, »już można w swoje rodzinne miejsce po»wrócić, i resztę życia spokojnie przepędzić.« Jestto zwyczajny i odwieczny sposób mówienia.

Teraz starać się będę opisać takiego młodzieńca, który dla wytropienia przyzwoitéj dla siebie połowicy, na polowanie wychodzi.

Otoż i on! patrzmy, stoi przed nizkiémi drzwiami. Zadzwonił, i jest już wprowadzony do salonu biórowego. Tam zastaje kanapę i fotele obite niebieskim utrechtskim axamitem; u okien są firanki z muszlinu, zégar, i wazy alabastrowe stoją na kominie. W środku sali jest stół do pisania; na nim leżą jedénaście rejestrowych ksiąg, pysznie oprawionych, na jednéj z nich stoi napis głoskami średniéj wielkości: *Małżeństwa do zawarcia.* Na innych zaś dziesięciu, wielkiémi czcionkami: *Małżeństwa zawarte.*

Wzrok młodzieńca przy samém już wnijściu spoczął rozkosznie na tych dziesięciu zeszytach, których napisy, dla łatwiéjszego czytania ku drzwiom są obrócone. Już mu się zdaje, że jego zgłoszenie się wraz z innémi widzi połączone, a serce jego skacze mu z radości.

Pani X., właścicielka bióra, jest albo w ubocznym pokoju, albo w kuchni. Skoro szelest usłyszy, natychmiast wchodzi. Pani X. robi wełnianą pończoszkę: »Czy pan życzysz sobie wnijść ze mną w jaki interes?« — »Tak jest, pani.« — »Proszę usiąść.«

To mówiąc sama siada na kanapie, zakłada druty od pończoszki pod czépeczek i przygotowuje się wysłuchać stojącego przed sobą młodzieńca. Ale że młodzieniec nie rozpoczyna piérwszy rozmowy, więc pani X. znowu się odzywa: »Zapewnie pan tu przychodzisz z dobrych powodów; bez wątpienia życzysz sobie żony.« — »Tak jest, pani.«

Teraz, ośmielony tą przemową, przekłada młodzian swoje życzenia, trzymając zawsze oczy w owych dziesięciu księgach: o zawartych małżeństwach.

Skończywszy co miał powiedzieć, pani X. ozwie się bardzo uradowana: »W rzeczy samej, mości panie, mogę mu w tém służyć. Mam właśnie teraz panienkę 26letnią na

pogotowiu, siérotę, bez ojca i matki, posiadającą majątku 100,000 franków. Tylko na jednę rzecz mógłbyś wćpan się uskarzać (tu pani X. uśmiéchnęła się cokolwiek), a tą rzeczą jest, iż jego bóstwo jest cokolwiek za piękne, albowiem wyznać muszę, że jéj powierzchowność bardzo jest powabna. Ale o tém sam wćpan wyrok wydać możesz, bo jakby na umyślnie przypadek to zrządził, że właśnie tu się znajduje, przezco wćpan sobie oszczędzisz trudu drugi raz przychodzić. Wszystko może się natychmiast odbyć.«

Tu pani X. wstaje i prosi młodego panicza, aby chwilkę poczekał... Zostawszy sam z sobą, oddaje się radości szczęścia. Błogosławi swojemu pomysłowi, który go sprowadził do tego domu, w którym na niego szczęście z rogiem okwitości i z pochodnią Hymena czekał... Wkrótce będzie mógł ubóstwioną małżonkę — ze stoma tysiącami frankow do serca przycisnąć... nie! pomyliłem się, wkrótce raczéj ściskać będzie stotysięcy franków z obóstwioną małżonką.

Z tych błogich, słodko-pieszczotnych marzeń obudza go jakiś mężczyzna, który wszedł do pokoju. Ma on okulary na nosie, jest w szlafroku i zielonych pantoflach. Z poważną miną zasiada przy stole, wyjmuje rejestr z teki, *nota bene* z napisem: »Małżeństwa do zawarcia.« Potém powodzi od stóp do głów młodzieńca oczyma, i zapisuje kilka wiérszy.

»Jak się pan nazywasz?« — »Eduard...«

»Ile masz lat?« — »Dwadzieścia i dwa.«

»Jakiego stanu?« — »Poeta.«

»Poeta, poeta... majątek?« — »Żadnego.«

»Żadnego... Wszystkie te odpowiedzi wciągnięto do protokołu. Mężczyzna ów, skończywszy pisać, zdejmuje okulary, ociéra je chustką od nosa, i mówi: »Mości panie, koszta naszego zakładu i statuta administracyi wymagają małego wynagrodzenia za pracę, którą wszakże nie zechcesz wziąć za przedpłatę, jakiéj się zwykle nasi koledzy domagają. Wćpan dostajesz,« to mówił dobitnie, »pannę stotysięczną, a zatém wynosi dla wćpana 10 frank. opłaty.«

Można łatwo wyobrazić sobie, że już sam widok tych dziesięciu ksiąg i słodkie obietnice pani X. nie dozwoliły młodzieńcowi ani na chwilę ociągać się z wypłatą żądanéj sumy. Pan Eduard wyjmuje 10 franków ze swego woreczka, którémi, ktoż wié, azali może aż do końca miesiąca nié miał się utrzymywać, i daje owemu jegomości, który je wziąwszy ukłonił się i odszedł.

Eduard, zostawszy sam jeden w pokoju, czuje że serce nie skacze mu już tak rozkosznie, jak wprzódy, z radości Że dziesięć franków zadały bolesną ranę jego woreczkowi, jakiś tajemny oblał go przestrach, jakieś nieprzyjemne nagaba go przeczucie, którego sobie wytłumaczyć nie umié. Nie długo jednakże dręczą go te bolesne myśli, pani X. zjawia się znowu, jaśniejąca, jak nadzieja. — Teraz dopiéro powinno się urzeczywiścić godło sowy, któreśmy na początku téj powiastki namienili.

»Zechcesz wćpan udać się za mną?« rzekła kapłanka Hymena z taką pełną natchnienia twarzą, jakby w istocie była Sybillą, zabiérająca się do wydania wyroczni. »Jednakże,« dodała, »zalecam wćpanu najsurowsze milczenie.«

Eduard poddaje się pod jéj rozkazy. Przechodzą przez długi ciemny kurytarz; on postępuje za odgłosem kroków swojéj przewodniczki. Jako poeta porównywa ten kurytarz do błędnika w Krecie, z tą jednak różnicą, że nie czeka na niego Minotaurus. Przewodniczka zatrzymała się: porywa młodzieńca za barki i sadowi go gwałtem na stolku. »Czekaj tu wćpan,« rzekła cichym głosem.

Nie chcemy tego wprost utrzymywać, ale nam się zdaje, że się pan Eduard nieco zatrwożył.

Nie wyszło ćwierć godziny, która mu wiekiem się zdawała, otwiérają się drzwi, a przy świetle, które się przez nie széroko rozprzestrzenia, postrzega się Eduard, że siedzi na taboracie w ciasnéj izdebce. Przed sobą widzi jasno oświetlony pokój, jak obraz w przezroczu. Pomyślał o pani swoich życzeń, a jakiś głos wewnętrzny powiadu mu: tu ją znajdziesz, tu ci się pojawi! Teraz w drugim końcu pokoju zjawia się w istocie wysokiego wzrostu piękna panna, ubrana czarno — boto jest siérota, która może rozrządzić sercem, ręką i majątkiem. Przeszła się tam i sam wszystkiego, jeźli się nie mylę, ośm razy. Po tém zjawisku zamykają się oświetlone drzwi, a Eduard sam nie wié, jak długo samotnie zostawał, i kto go z gabinetu wyprowadził. Nie pierwéj się może opamiętać (tak bardzo młoda panna zawróciła mu już głowę), aż gdy znowu ujrzał się w biórze, w obec dziesięciu wieszczych ksiąg.

Teraz już jest szczęśliwy, bo widział tę niebiankę, która mu los przeznacza .. widział towarzyszkę dni swoich — widział matkę dziatek. Nie pozostaje mu nic więcéj, jak tylko stotysięcy franków; bo co do powierzchowności owego słodkiego w czarnych sukniach zjawiska, niczego nié ma się obawiać.

»Czyliż wćpan kontent jesteś?« zapytała pani X.

»Jestem zachwycony, zaczarowany.«

»Teraz przystąpimy do drugiéj próby. Powiadasz wćpan, że mu się ta dama podoba, teraz jest pytanie, czyli się wćpan damie podobasz.«

Eduard bynajmniéj się nie trwoży, bo wié o tém, że pięknym jest chłopcem, tylko żałuje, że wprzódy o tém nie wiedział, byłby przecież kazał sobie bóty glansownie wypolerować, byłby swój czarny frak włożył, który lepiéj mu, niż

jego surdut bronzowy, w biodra się wciska; mógłby się był także ogolić i włosy nieco gorącém żelazkiem pokędzierawić, lecz teraz już za późno, jużto są rzeczy nie donaprawienia! Jednakże czyni co może, ociéra sobie bóty o łytkę, ściąga lepiéj surdut, paprawił na szyi chustkę i palcami przymuskał włosy. Tak więc po raz drugi udaje się za panią X., jak bohatér powny zwycięztwa. Żezwala, aby tylko sześć razy się tam i sam przeszedł, albowiem honor męższczyzny wymaga tego po nim. Ale gwałtowne jego wzruszenie odbiéra mu siły, albowiem w głębi otwartego i oświetlonego gabinetu postrzega coś czarnego — jestto jego małżonka, to mu jego wieszczy duch powiada! —

Po krótko trwałéj apoteozie znowu go odprowadzono do bióra, i po raz trzeci zostawiono samego. Eduard rzuca się na kanapę i czeka rozwiązania losu. Z tém wszystkiém jest on w duszy spokojny; wszakże o siebie wcale się nie lęka. Serce tylko trochę mu bić zaczęło, gdy owego jegomości w okularach do pokoju wchodzącego ujrzał; który z tą samą powagą i spokojnością usiadł przy stole, z jaką piérwéj to uczynił. Bierze rejestr i kładzie go starannie do teki z napisem: »Małżeństwa zawrzéć się mające,« a potém zimnym tonem te uroczyste wymawia słowa: »Bardzo to nas martwi, mości panie, ale, cóż robić, wćpan nie podobałeś się pannie... inną razą może szczęśliwszym będziesz!«

Si fractus.....

»Choć pęknie niebo, nie pochylę głowy!«
Krzyknął Horacy, zdziwił szczytem mowy;
Tak krzyknął prostak, gdy się uzuchwalił —,
Że szczytnie krzyknął nikt go nie pochwalił.
i. n. k.

Z Tarnowa. Przed kilką tygodniami JPani Maryja Kisielnicka z Warszawy, w przejeździe swoim przez Tarnów, dała się słyszéć tamże w dwókrotnym koncercie na fortepianie. Grono miłośników muzyki towarzyszyło grze JP. Kiselnickiéj. Publiczność, licznie zgromadzona, obsypywała hucznémi oklaskami artystkę, która grą swoją przyjemną, i urokiem, rozlanym na każdą sztukę przez nią wykonaną, zachwycała najsurowiéj sądzących znawców. Powszechne jest zdanie, iż wstępująca w zawód JPani Kisielnicka może z czasem wyrównać nie mającéj dotąd w płci swojéj następczyni, sławnéj Szymanowskiéj.

JPani Kisielnicka znajduje się obecnie we Lwowie, gdzie ma zamiar z grą swoją wystąpić w kilku koncertach. Spodziéwać się należy, iż publiczność stolicy, wspiérająca wszystkie talenta, i tego we względach swoich przepomnieć nie raczy.

Nieco o mieście Kołomyja. Kołomyja, dziś miasto obwodowe nad rzeką Prutem pod Karpatami położone, ma miéć, jak niektórzy twierdzą, swe imię od Kolomana, króla węgierskiego, który je założył około r. 1214; ojciec jego Andrzej spomniawszy na 3letny swój pobyt w Haliczu, wysłał go tamże i wyjednał u papieża Innocentego III. dla niego koronę, zaślubiwszy go w r. 1215 z Salomeą, córką Leszka Białego króla polskiego, gdzie arcybiskupi, biskupi, magnaci węgierscy i orszak króla polskiego przybyli na ślub. Arcybiskup strygoński namaszczał oboje, a Salomea miała otrzymać koronę Halicza; nie długo jednak cieszyła się tém szczęściem; w tym samym roku Mścisław, książę włodzimiérski, za pomocą Połowców, Halicz opanował, i oboje w zamku Terszko (nie daleko Tweru w Rossyi) zamknął. Kołomyja było potém miastem powiatowém do ziemi halickiéj należącém, właściwie Pokucie zwanéj, sławne osobliwie dla soli warzonéj w przeszłych wiekach. W r. 1483 Kazimiérz III. król polski, pod rozbitym namiotem na polu rozległém koło tego miasta, na przygotowanym dla siebie tronie zasiadłszy, przyjmował hołd od Stefana, wojewody wołoskiego, i 14 bojarów; tu Stefan ścielił chorągiew swego państwa pod nogi królewskie, i padłszy na kolana wraz z swémi radnémi, odnowił przysięgę wierności na wieczne czasy Polakom, co pieczęciami stwierdzono. Przy téj uroczystości było wielu polskich panów przytomnych, między innémi Maciej z staréj Łomży Kamieniecki i Jakób Dembiński, kasztelan i starosta krakowski. Na północ, między miastem i wsiami Piadyki i Cieniawa, po lewéj stronie jadąc ku Dniestrowi, widać po dziś dzień mogiłę usypaną, na ktoréj miał stać tron Kazimiérza. Czas oraz chciwość właściciela, który teraz zboże od kilku lat zaczął tu zasiéwać, zniszczył już po części te pamiątkę. Włościanie po dziś dzień z uszanowaniem o tém rozmawiają i z wielką gotowością opowiadają miłośnikom i badaczom starożytności po wyż wymienione historyczne zdarzenie. Poźniéj to miasto zostało starostwem, z którego żona Eliasza, wojw. woł. opatrzenie odbiérała. Za Alexandra I., króla polskiego, wiele uciérpiało Pokucie, z powodu, iż on odmówił rękę siostry swéj, Elżbiéty, Bogdanowi Jednookiemu, wojw. wołos., a osobliwie Kołomyja, gdzie dopiéro za Zygmunta I. Mikołaj Kamieniecki, hetm. kor., pomścił się téj hańby. R. 1532 Petryło, wojw. wołos., spalił Kołomyję, mszcząc się mieczem i ogniem krzywdy poprzednika. R. 1589 było to miasto znowu przez Turków i Tatarów napadnięte, gdzie mieszkańców w pień wycięto, a miasto, wraz z pięknym klasztorem oo. dominikanów, leżącym nad samym Prutem, spalono, a pobożnych mnichów wycięto, lub haniebnie w ornatach kościelnych obwieszono na smętarzu klasztornym. Teraz miasto posunęło się od Pruta ku północy, i tam wybudowano klasztor drewniany, gdzie poźniéj magistrat był umieszczony, a który budynek przed kilkanastą latami zniesiono. M.

Krolewskie towarzystwo uczone lekarskie w Berlinie, na swojém ogólném posiedzeniu w dniu 15. maja r. b. publicznie odbytém, mianowało profesora krakowskiego uniwersytetu, doktora Ludwika Bierkowskiego, członkiem korespondującym, a to w dowód cenienia zasług jego, położonych w naukach przyrodzonych i sztuce lekarskiéj.

Pejronetta »Dzieje Francyi,« są do połowéj gotowe; dwie części pokazały się już w handlu księgarskim. Powszechny głos uznał to dzieło za najznakomitsze zjawisko współczesne, i za pracę, którą się Francyja pochlubić może. Głębokie wpatrzenie się w tajemnicę stosunków, bezstronność, miłość prawdy, mistrzowskie rzeczy ujęcie i gorąca miłość ojczyzny charakteryzują to dzieło Pejronetta, które z głębi więzienia błyszczy jak gwiazda w noc ciemną. Spodziewają się, iż wstawiania się za nieszczęśliwym więźniem nie długo bezskutecznémi zostaną.

Paryzka akademija umiejętności zatrudniała się na swoich dwóch ostatnich posiedzeniach odkryciem pana Thilorier, któremu się udało gaz kwasu węglowego (okwicie w całéj naturze rozlany), zamienić w ciecz, a nawet i do stałego stanu przyprowadzić. Komisyja wyznaczona od akademii do rozpoznania tego przedmiotu,

z która pomiędzy swojémi członkami liczyła także najsłynniejszego chemika francuzkiego Thenarda, uznała prawdziwość tego odkrycia. Członkowie komisyi przekonali się sami o tém ważném faktum: że kawałek kwasu węglowego tak stężały jak kawałek lodu, niknął w ich rękach, i zamieniał się w gaz kwasu węglowego. Korzyści tego odkrycia, o którego prawdziwości bynajmniéj już po tych próbach powątpiéwać nie można, są prawie nie do obrachowania. Gdy kwas węglowy, będący w stanie stałym, zamienia się w gaz, powstaje tak ogromna siła rozpręźliwości (roztężna), że znana dotąd siła prochu, a nawet i pary, niczém jest prawie w porównaniu z nią. Przemiana ta podaje nam także możność uzyskania nadzwyczajnego stopnia zimna i gorąca. Nareszcie odkrycie to postawiło nas o daleko bliżéj podobieństwa robienia dyjamentów, bo, jak wiadomo, dyjament nie jest niczém inném, jak tylko gazem kwasu węglowego w stanie stałym.

W Paryżu wyszła temi dniami część pierwsza dzieła: »Półwysep *(la Peninsule)*,« obraz romantyczny Hiszpanii i Portugalii, przez księżnę Abrantes, Alexandra de Laborde, Karola Nodier i margr. de Custine.

Ulubiony romans dam paryzkich jest: *Coquetterie*, przez autora *Trevilyana*. Natura kobiet i życie towarzyskie mają być przedstawione w téj książce w sposób bardzo trafny i zajmujący, a to wszystko podniesione jest scenami uderzającémi i pełnémi życia.

P. Ernest Schmidt, członek akademii sztuk pięknych we Francyi, wynalazł instrument *lira Apolina*. Jestto instrument dęty, na 1 stopę wysoki, szeroki 6 cali; ma 6 dziurek, 24 klapek, 4 oktawy i połącza w sobie tony oboja, klaryneta, fagota i rogu. Wynalazcy dano bardzo zaszczytne pochwały na piśmie od Cherubiniego, Rossyniego, Majerbera i t. d.

Miasto Marsylija zakupiło sławne organy, roboty Michała Paoli. Miechy i dudy są w bardzo małych rozmiarach, a jednakże tak potężne tony wydają, że i z największémi organami mogą się zrównać. Paoli jest synem włościanina, i już w 16tym roku, jedynie zapatrując się na wzór, zrobił zegarek zadziwiającéj dokładności. Pleban miejscowy zajął się tym młodym człowiekiem, który takie sporządził organy, że cała Florencyja dziwiła się nieporównanemu instrumentowi. Paoli wydoskonalił się teraz na najzręczniéjszego organmistrza.

Na ulicach Bruxelli często spotkać się można z pewnym olbrzymem mającym 7 stóp wysokości, który w młodym jeszcze jest wieku, a jednak wielkiéj siły daje dowody.

Pewien bogaty posiadacz dóbr w Anglii jeździł po całéj Europie przez lat 10, ażeby zbiérać i skupować włosy, paznokcie, zęby, kości, suknie i niektóre sprzęty sławnych ludzi. Temi zbiorami napełnił już 4 sale i 30 pokoi.

P. Villeneuve Borgomont wydał dzieło statystyczne o liczbie ubogich w Europie, którą naznacza na 10,897,333 w stosunku do ludności 226,415,200. Ubogich tych dzieli w następujący sposób: W Anglii znajduje się 3,900,000, t. j: szósta część całéj ludności, wynoszącéj 23,400,000. Praca, jaką tamtéjsze odbywają machiny, wyrównywa pracy 180 milijon. ludzi. W Londynie na 1,500,000 dusz jest 105,000 ubogich. W Liwerpolu na 80,000 mieszk. 27,000; w Cork na 60,000 mieszk. 26,000, a w Sunderland na 17,000 mieszk. 14,000 ubogich. W Niemczech, gdzie większa część mieszkańców trudni się rolnictwem, znajduje się około 680,000 ubogich, czyli 20 część ludności. Ludność rolnicza trzy razy jest większa niż liczba rękodzielników. W Państwie Austryjackiém stosunek ubogich do całéj ludności jest jak 1 do 23, czyli 1,280,000 na 32 milijony. Danija na równéj stopie trzyma się z Austryją, albowiem tamtéjsi ubodzy mają się jak 1 do 25, a rolnicy do rękodzielników jak 4 do 1go. W Hiszpanii na 13,900,000 mieszk. znajduje się 450,000 ubogich, czyli jak 1 do 30; klasa rolnicza ma się tam do rękodzielniczéj jak 5 do 1. We Francyi liczą 1,500,000 ubogich na ludność 32 milijon, czyli 1 do 20. We Włoszech jest stosunek jak 1 do 25, znajduje się tam bowiem 750,000 ubogich na 19 milijon. mieszk. Belgija i Hollandyja stoją na równi, ubodzy do całéj ludności mają się jak 1 do 7. W Portugalii na 3,500,000 mieszk. jest 141,000 ubogich. Prusy mają na 12 milijon. 425,000 ubogich, a więc 1 na 30. Rossyja Europejska, mająca 52 milijony ludności, liczy nato 525,000 ubogich, czyli 1 na 100; rękodzielnie stoją tu na najniższym stopniu. Ludność Szwecyi wynosi 3,806,000 mieszk., między którémi jest 154,000 ubogich, a więc 25ta część. W Swajcaryi na ludność 1,742,000 dusz, znajduje się 17,000 ubogich.

D. 22. sierpnia pewna młoda i piękna w Konstantynopolu mieszkająca Angielka udała się w towarzystwie dwóch służących do Scutari, mając zamiar kąpać się w Bosforze. Co tylko weszła była do wody, gdy kilku tureckich oficerów właśnie przechodzących tamtędy, zatrzymało się na brzegu, i na wszystkie prośby służących nie chcieli tego miejsca opuścić, owszem żartowali sobie z damy, która w cienkie owinięta prześcieradło zanurzała się jak mogła w wodzie. Nie mogąc się prośbami pozbyć natrętów, piękna Angielka użyła słów groźnych, lecz to nie wiele pomogło, bo zuchwalcy, zamiast oddalić się, nie poprzestawali swoich złośliwych uwag i żarcików. Cierpliwość pięknéj damy nie mogła już w swoich utrzymać się granicach. Cóż robi? o to jednym skokiem wybiega z wody, zarzuca płaszcz na ramiona i prosto jedzie do koszar, gdzie stanąwszy przed komendantem żąda ukarania zuchwalców. Ugrzeczniony Muzułman kazał natychmiast oficerów, których mu młoda dama najdokładniéj opisała, śledzić, a znalazłszy ich, pod strażą pięknéj obrażonéj przedstawić, aby karę na nich sama wymierzyła. Bez długiego namysłu nad rodzajem zemsty, obrażona kobiéta pochwyciła za kij i przez ćwierć godziny pracowała na plecach winowajców, którzy od bolu najśmieszniejsze wyprawiali miny; po wymierzeniu sprawiedliwości, zadowolona z tego przypadku, powróciła do swego mieszkania.

P. Macferlane, mechanik edinburski, w przeszłym miesiącu popisywał się przed wieloma świadkami z nową machiną, która wszelkie oczekiwanie przewyższa. Mechanizm ten zastępuje miejsce kabryjoletu i koni, i w 45 minutach przebiega dwie angielski mile. Bardzo małéj siły potrzebuje on na drodze równéj, pod górę już nieco więcéj, z góry żadnéj. Skład zaś tego powozu na jednę osobę jest tak prosty i tak niekosztowny, że go za 40 frank. miéć można. Niestety! jestto wyrok śmierci na wszystkie fiakry, omnibusy, wozy towarzyskie i t. d.

Przechowywanie winogron przez zimę. Ułożyć je warstwami w skrzyni, przesypując każdą warstwę suchémi trocinami lub suchym przesianym popiołem, a potém lekko przykrywszy, w chłodném trzymać miejscu. Gdy się ich potrzebuje należy po wyjęciu ze skrzyni oczyścić z trocin, i przez 4 do 5 minut w letnéj trzymać wodzie, a będą pełne i świéże.

Mody. Damy do sukień galowych z krótkiemi rękawami biorą długie rękawiczki różowego lub białego koloru. Moda ta, jak się spodziewać należy, utrzyma się przez zimę. Bielizna wchodzi teraz do najgłówniejszéj części mody; wszystko aż do mankietków powinno być najwyszukańsze. Swiat elegancki do najdrobniejszych szczegółów zachowywać powinien wytworność w téj części stroju.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.